ADAM WIARYGA-MINIESKI

Miłość i wojna

Powieść z dni ostatnich.

7

A on nadużył tej miłości i bezwzględnego zaufania...

I teraz widzi Krzycki wpatrzone w siebie jasne oczy Hanki i czyta w nich niemy wyrzut, skargę: „czy pamiętasz“?

Wakacye skończyły się i Krzycki wyjechał.

Przy pożegnaniu Hanka płakała rozdzierająco, rozpaczliwie, tak, jakby go już więcej widzieć nie miała.

Pocieszał ją, zapewniał, że nie zapomni, że będzie pisał często, bardzo często, wróci, przyjedzie znowu...

Wierzył wówczas, że dotrzyma tego, co przyrzekał.

Dusza Krzyckiego skażona już była niezdrowem tchnieniem lekkomyślnych uciech i zatruta jadem cynizmu — ale nie był jeszcze człowiekiem złym...

Postanowił sobie święcie, że przyjedzie tu na przyszły rok i oświadczy się Staszyńskiemu o rękę Hanki.

Po wakacyach zjechała na uniwersytet koleżanka Lili z Ukrainy, która pięknością swoją, oryginalnością tualet i zachowania się, kapryśnym, nierównym temperamentem wywołała zamieszanie i rywalizacyę wśród młodocianych, łatwo zapalnych kolegów.

I Krzycki uległ jej urokowi... Pod wpływem zielonych, jak morze, fosforyzujących oczu Lili prysł czar sielanki letniej przeżytej z Hanką...

Jan począł odpisywać Hance coraz rzadziej, coraz lakoniczniej, coraz chłodniej, aż w końcu przestał pisać zupełnie.

I ona, kiedy nie otrzymała odpowiedzi na kilka swoich listów — umilkła, zerwała korespondencyę...

Bez słowa skargi, prośby czy wyrzutu usunęła się z jego życia... Czy i ile ją to kosztowało walk wewnętrznych, zmagań się rozpaczliwych ze sobą, z zawiedzionem, zdeptanem uczuciem, tego Jan nie wiedział, nie domyślał się, a właściwie nie chciał się domyślać.

Nie wiedział tego również, że zgasił radość życia Hanki i na jej bujną młodość w samem zaraniu rzucił kir smutku i żałoby.

W jakiś czas później obiło mu się o uszy, że stary Staszyński umarł, ale wiadomość ta mało go zainteresowała.

W myślach Jana królowała wówczas urocza pani Niusia, żona jednego z kolegów.

Dlaczego teraz w tę noc bezsenną, dręczącą oczekiwaniem bitwy, która może zakończy porachunek z życiem, spływa w duszę wbrew woli, wbrew chłodnemu rozumowaniu po splątanej nici wspomnień coś, jak tęsknota, żal i wstyd...

— Co u dyabła — powtarza sobie w myśli Krzycki — sumienie się we mnie zbudziło czy co?... Czy też ta dziewczyna była dla mie czemś więcej, niż inne kobiety?

Usiłował odpędzić od siebie uparcie powracające wspomnienia, chciał przestać myśleć — zasnąć.

Nie mógł.

— Kuzek, spisz?

— Nie!

— Ano, jeżeli nie możesz spać, to oddam ci wet za wet — rozstroiłeś mnie swojem opowiadaniem, więc i ja ci teraz opowiem jeden epizod z mojego życia.

I zaczął opowiadać, jak poznał Hankę, jak ona go kochała i jak to życie poszło swoim torem...

W opowieść swoją mieszał Krzycki sarkastyczne uwagi, aby zamaskować wzruszesie, jakie go ogarniało przy rozsnuwaniu tych obrazów niby zatartych w pamięci, a występujących teraz z przedziwną siłą i świeżością barw.

Kazimierz słuchał uważnie, nie przerywając ani słowem.

— Tak więc zakończyła się ta moja sielanka wakacyjna — kończył Jan swoje opowiadanie — „es ist eine alte Geschichte“... i niewiem skąd mi przyszło do głowy wspominać to wszystko, rozważać i omal że rozczulać się... Hanka prawdopodobnie dawno pocieszyła się i teraz może zasypia na wygodnym materacu spokojnym snem sprawiedliwych przy boku kochającego małżonka, o ile go, rzecz prosta, nie zabrano do wojska!

— Jaśku!

W głosie Kazimierza zadźwięczał surowy wyrzut.

— Jaśku porzuć ten banalny, tani cynizm, którym stłumić chcesz głos serca... Nie udawaj gorszego, niż jesteś...

— Ach! Dajże mi spokój, ty czuły kochanku z obyczajowych powieści z moralnym sensem w ostatnim rozdziale... Ostatecznie życzę przecież Hance jak najlepiej, jeżeli przypuszczam, że się pocieszyła i zapomniała...

— A jeżeli jest inaczej?... Jeżeli ty złamałeś jej życie, unieszczęśliwiłeś ją, jeżeli ona pamięta i cierpi... Czy pomyślałeś o tem...

— Jeżeli, jeżeli... W takim razie... Eh! Nie jestem odgadywaczem przyszłości, nie chcę robić konkurencyi pani de Thèbes i jej czcigodnym kolegom i koleżankom... A niech to!... Dosyć tego głupiego gadania... Spijmy!

Zamilkli znowu, sen jednak nie przychodził...

. . . . . .

. . . . . .

Dniało...

Hen daleko, nizko, u krańca horyzontu wystąpiły blade smugi i zwolna, nieznacznie rozlewały się na nieboskłonie coraz szerzej i wyżej i coraz jaśniej.

Swit zapalał się i płynął coraz wyraźniej bladoróżową jasnością.

Tuż nad ziemią pełzał jeszcze mrok, przewalał się zboczami wzniesień w doliny. czaił się w parowach i jarach, pierzchał w zarośla, gaje i lasy...

Dzień wstawał.

Na ziemi tu i ówdzie ozwały się głosy. Coraz ich więcej, brzmią coraz wyraźniej, łączą się razem, zlewają w jedno, aż wyłoniła się z nich melodya poważna, majestatyczna i zabrzmiała pieśń:

„Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia, Tobie morze,
Tobie śpiewa żywioł wszelki
Bądź pochwalon, Boże wielki!...“

To żołnierze polscy w okopach, Mazury, wielbią Stwórcę pokłonnym hymnem, pieśnią poranną — modlą się o świcie, jak modlili się dawniej w swych cichych chatach, jak modlili się ojcowie i dziadowie.

W melodyę pieśni wplatają się nowe tony: westchnienie głębokie i ciężkie. Komuś oczy zwilgotniały, gdzieś tam upadła łza...

Z piersi chłopskiej wyrywa się tu i ówdzie znowu pieśń inna:

„Zacznijcie wargi nasze chwalić Pannę świętą.
Zacznijcie opowiadać cześć Jej niepojętą...“

I płynie w dal szeroko, niesie się w górę, jak skowronkowe pienia ta pieśń polska, hymn czci najwyższej narodu do Swej Królowej Niebieskiej...

Korzą się serca i wielbią w oddaniu i ufności...

Tam w dali na wschodzie trysnęły złote blaski...

Naraz rozdarł powietrze huk jeden, drugi, dziesiąty...

Działa zaczęły grać...

Ziemia zadrżała i drży, jakby w lęku o tych, którzy w jej wnętrzu szukają osłony...

Działa łomocą coraz gęściej... Z potwornych paszcz spiżowych rwą w przestwór pociski ze świstem i rykiem... Powietrze, targane raz po raz wybuchem, zawodzi, wyje i jęczy. Z przeciwnej strony płynie podobna fala, uderza z całą mocą. Tysiąc głosów ściera się, splata i wre w szale. Z chaosu tej muzyki śmierci wyłania się groza.

Na dalekiej, szerokiej przestrzeni nie widać nic, tylko wzniesienia nieznaczne, pagórki i długie usypiska, ale poza nimi błyska tysiące zimnych, stalowych ślepi. Smierć chciwa ludzkiego życia spogląda przez otwory rur karabinowych, czai się w zamkach, czyha na ostrzach bagnetów...

Gdy przestrzeń ta zaroi się, zaludni, ziemia zrosi się krwią obficie...

Działa łomocą raz po raz bez przerwy, powietrze faluje gwałtownie i wyje tysiącem głosów, ziemia dygoce, a ukryci w jej wnętrzu żołnierze czekają, czekają długo...

Zaciśnięte dłonie ściskają mocno karabiny, mięśnie wyprężyło oczekiwanie, oczy płoną...

Padł rozkaz.

Przez szeregi przeszedł dreszcz...

— Pod Twoją obronę uciekamy się Święta Boża Rodzicielko — szepczą usta.

— Bracie, pamiętaj o mnie.

— Wojtek, nie zapomnij, o co cię prosiłem!

— Gdy zginę, wiesz, co masz zrobić...

Ktoś komuś padł jeszcze w objęcia, ktoś rękawem przetarł oczy, ktoś drżącą ręką pisze jeszcze ostatnie słowa.

Znowu padł rozkaz.

Ozwał się szczęk. Bagnety nakładane na karabiny zazgrzytały głośno, chrapliwie...

Ostre, lśniące języki zamigotały... Promienie słońca roznieciły w nich tysiące skier...

— Naprzód! — zabrzmiała komenda.

— Hurra! hurra!

— Jezus, Marya, Józef!...

I poszli...

— — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — —

Porucznik Jan Krzycki odzyskał przytomność i spojrzał...

Dokoła niego panował ruch, słychać było ciężkie westchnienia i jęki.

Porucznik w pierwszej chwili nie zdawał sobie sprawy z tego, gdzie się znajduje — zapytał więc:

— Gdzie jestem?

— W szpitalu polowym! — brzmiała odpowiedź.

— Jak wypadł szturm?

— Okopy rosyjskie wzięte. Moskale cofają się w kierunku Z.

— A nasze straty?

— Nieznaczne.

— Cóż ze mną?

— Ramię strzaskane odłamkiem szrapnela, rana w piersi od kuli karabinowej. Upływ krwi był silny, ale niebezpieczeństwa niema.

Kiedy lekarz odszedł do innego rannego, zbliżył się do porucznika Krzyckiego żołnierz z obandażowaną głową.

— Melduję posłusznie — rzekł składając wojskowy ukłon — mam do oddania tu rzeczy.

Żołnierz podał pierścionek, fotografię, list i portfel.

Krzycki poznał. Zal ścisnął serce, mgła zaczęła przysłaniać oczy i czuł, że ogarnia go znowu mrok.

Opanował się jednak. Dał znak żołnierzowi, aby usiadł przy nim i szepnął drżącym głosem:

— Opowiedz.

— Kiedy przyniesiono mnie — zaczął żołnierz — na stacyę opatrunkową, leżał tam już chorąży Walczak. Miał strzaskane ramię i nogę. Był jeszcze przytomny i poznał mnie. Miał jednak już tylko tyle sił, że wymienił nazwisko pana porucznika i dał mi te rzeczy. Więcej nie mógł nic mówić, ale ja zrozumiałem, że mam to oddać.

— Co się stało z chorążym? — zapytał Krzycki.

— Widziałem, że było przy nim dwóch lekarzy, a potem przyszedł ksiądz... Konał już... A potem to ja zemdlałem, jak mnie opatrywano, no i odwieźli mnie tutaj... Biedny nasz chorąży!

— Biedny Kaziku! — westchnął porucznik Krzycki — spełniły się twoje przeczucia.

ROZDZIAŁ VI.

— Panno Anielko, droga, złota panno Anielko, czy ja mogę już pójść, zastąpi mnie pani? — pytała Józia przymilnie, spoglądając w oczy Anielce, która krzątała się koło kuchenki gazowej z herbatą.

— Ależ owszem... Na sali jest teraz zaledwie kilka osób. Wogóle w „kuchni“ w godzinach przedpołudniowych ruch jest słaby. Dam więc sobie radę doskonale!

Istotnie starszy pan, w okularach, z poważną, surową miną pedagoga, który siedział przy kasie, nie miał prawie nic do roboty i mógł spokojnie czytać gazetę.

Trzech tylko szpakowatych już mężczyzn popijało herbatę, omawiając z ożywieniem najnowsze wiadomości z terenów wojny, dwaj młodzieńcy grali w szachy, a w kąt pod oknem wcisnęła się jakaś ubogo ubrana kobieta i oparłszy głowę na ręku, zdawała się dumać czy drzemać.

— A gdzież to panna Józia się tak spieszy? — dodała z uśmiechem Anielka.

Lubiła bardzo ładną dziewczynkę, która też nawzajem odpłacała jej uczuciem gorącej sympatyi.

Józia, posłyszawszy pytanie, miała już na ustach zręczną, wykrętną odpowiedź, ale pod wpływem jasnego, przyjaznego spojrzenia Anielki, zarumieniła się nagle i niespodzianie dla samej siebie odpowiedziała szczerze:

— Umówiłam się! Mam się z kimś spotkać!...

Dziewczęta spojrzały sobie w oczy. Przepływał między nimi jakiś tajemniczy prąd sympatyi i ufności.

Były to dwie odmienne natury kobiece, które czuły się jednakowoż wzajemnie silnie pociągnięte ku sobie.

Nagle Józia, idąc za odruchowym popędem serca, przytuliła swoją kształtną główkę do ramienia Anielki.

Anielka odczuła, że w tym ruchu było jakieś nieme wyznanie, prośba o przyjaźń, o radę.

Ujęła w pół dziewczynkę i pociągnęła ją na ławkę pod ścianą. Widziała, że Józia chce jej coś powiedzieć, o coś zapytać, ale nie śmie, boi się, waha.

Postanowiła jej dopomódz.

— Panno Józiu, czy pani przypadkiem nie zgubiła serduszka tutaj w Pradze?

— Może... może... — szepnęła Józia.

Przez chwilę milczały obie, a potem Józia zaczęła: